

andrzej horubała

hanka



ANDRZEJ HORUBAŁA

HANKA

Teologia Polityczna
Warszawa 2023

Powiedzieć jej prawdę?

Że niby co, że prawda wyzwoli?

A nie pomyślałeś, że prawda może zabić?!

Zresztą, doskonale wiem, o co ci chodzi. Żeby się już zamknęła. Boisz się, boisz, że cię to skompromituje. Te jej wpisy z czerwoną błyskawicą, coraz śmielsze deklaracje. No pewnie. Nagle córeczka bruździ. Bo się wreszcie wyzwala. I troskliwy tatuś się teraz odzywa, bo córka za chwilę ma udzielić okładkowego wywiadu, bo staje się osobą publiczną, jedną z ikon ruchu.

A co robiłeś przez te wszystkie lata, gdy byliśmy kompletnie same w pustym ponurym domu, w którym nas zostawiłeś? Myślisz, że cokolwiek załatwiały te twoje maile, telefony, pospieszne odwiedziny na odwal? Kompletnie nie interesowało cię, co się z nami dzieje. W ogóle nic o nas nie wiedziałeś.

I teraz, gdy Hanka prostuje się, gdy wreszcie w naszym mieszkaniu rozbrzmiewa jej śmiech, gdy rozkwita, gdy jemy razem śniadanie, gdy

Hanka
Andrzej Horubała

rozmawiamy, gdy życzymy sobie miłego dnia, odzywasz się ty ze swoim racjonalnym przesłaniem: powiedz prawdę, powiedz jej prawdę.

– Mamo – wykrzyknęła – ja nareszcie wiem, po co żyję!

To nie, to musisz teraz ty wkroczyć ze swoim „powiedz prawdę”. No pewnie, wtedy może zamilknie i przestanie psuć wizerunek tatusiowi. Bo to jest dla ciebie najważniejsze, rycerzu prawdy.

Co mam jej opowiedzieć?

Jaką prawdę?

O tym, jak zdobyłeś mnie i – olałeś? Jak się przestałeś starać?

A potem porzuciłeś nas, bo postanowiłeś iść wyżej i już ci nie pasowałam?

Co mam przywołać, no co?

Wielki nieobecny!

Gdzie byłeś, gdy Hanka pogrążała się w odmętach rozpacz? Gdzie?

Jak ty niczego nie rozumiałeś! Sądziłeś, że jej bieganie po górach, pokonywanie coraz to nowych tras, starty w ekstremalnych biegach, że to objaw zdrowia. Lajkowałeś fotki z nią w profesjonalnych bluzkach, z twarzą, na której rysowała się radość wymieszana ze zwierzęcym niemal strachem, ale ty tego nie widziałeś, nie widziałeś tego lęku i udostępniałeś na swoim fejsbuku z podpisem: „duma taty”.

A to była najczystsza rozpacz. To była – desperacja. Hanka katowała się treningami, ćwiczyła, rozciągała się, biegała aż do wymiotów ze zmęczenia, a ty klikałeś serduszka przekonany, że wszystko jest w porządku. No pewnie: piękne góry, uśmiechnięte twarze, żarówki dresy, zgrabne wyżyłowane nieco dziewczuszki.

Ja byłam – przerażona. No pewnie, kibicowałam jej, słałam do ciebie prośby, żebyś zasponsorował jej najlepsze buty, które razem z nią wyszukiwałam w internetowych sklepach, ale przecież wiedziałam, że któregoś dnia to pęknie. Że przecież tak się nie da.

I pękło.

Gdzie byłeś, gdy zamknęła się w pokoju? Gdzie byłeś, gdy przestała się odzywać.? Gdzie twoje serduszka, lajki, gdy twoja „duma taty” nagle odpadła? I te twoje dobre rady: zrób z tym coś, porozmawiaj z nią...

Czy wiesz, jak to jest przechodzić obok jej zamkniętych drzwi i nasłuchiwać, trwożnie nasłuchiwać, co tam się dzieje? Zastanawiać, ale tak na skraju świadomości, by nie przywołać najgorszego, zastanawiać, czy już do tego doszło, czy na razie to tylko preludium.

Czy wiesz, jak to jest sprawdzać, czy jeszcze żyje, tak!, czy jeszcze oddycha, modlić się o głośniejsze westchnienie, by upewnić się, że jeszcze nie skończyła z sobą?

Cicho zsuwam klapki i bosko skradam się pod jej pokój.

Marzyłam kiedyś, patrząc na małe słodkie paluszki Hani, że będziemy sobie chodzić na bosaka po mieszkaniu i klapać gołymi stopami po parkiecie. I przecież bawiłyśmy się tak w kałużach. No to mam. Ale nie kłapię gołymi stopami, tylko cichutko sunę.

Wieczór, ciemno u niej, przykładam głowę do drzwi, czy usłyszę oddech?

Dochodzi do mnie szmer, stuk, cała drętwieję, jestem słuchem, tylko słuchem, cała słuchem, wytężonym, starającym się wychwycić każdy dźwięk i domyślić się, co tam się dzieje. Skrzypnięcie: czy to przewracasz się córeczko na drugi bok, czy może robisz sobie właśnie krzywdę. Cicho cichuteńko. Śpij, jeśli zasnęłaś.

Hanka
Andrzej Horubała

I znowu, coś mnie budzi w nocy, zrywam się, biegnę do jej pokoju, otwieram drzwi, jest cisza. Podchodzę do łóżka. Oddycha? Nie oddycha?

Gdzie byłeś wtedy?!

Że dorzuciłeś się do terapii? Nie żartuj. Trzeba było przyjechać, zobaczyć jej mocowanie się. Schyloną, zgarbioną, jakby pokonaną, z trudem wydobywającą z siebie słowa. Jej twarz, gdy terapeutka, krótko ostrzyżona okularnica, pyta, czy konkretnie wyobraża sobie, jak chce z sobą skończyć.

Albo potem, za którymś razem, jak Hanka słucha opowieści, że trzeba sobie zaplanować przyszłość, uporządkować, jak potakuje i tak tak, ale bez napinki, wiadomo, że tak, i nagle odwraca się do mnie i rzuca mi porozumiewawcze szydercze spojrzenie. To jest moment. Wzrok cyniczny, niemal szatański uśmieszek, aż się przeraziłam. Bo rozgryzła terapeutkę i zaczęła się nią zabawiać.

Za cwane te dzieci: mają dostęp do internetu i doskonale prześwietlają te wszystkie sztuczki. Wiedzą dobrze, co chcą usłyszeć uzdrowicielki ich psyche, znają ich tabelki, słowa-klucze, wymieniają się informacjami, nie..., to było beznadziejne. Dla mnie zresztą sprawa była oczywista: niby dlaczego Hanka w to wpadła. Skoro tatuś porzucił, to co, co miało się niby z nią stać? Podręcznikowa sprawa.

Pewnie, że walczyłam, pewnie, że chciałam choćby dla Hanki, byś nie odchodził.

Pamiętasz, pamiętasz, jak cię błagałam, żebyś został choćby ze względu na Hanię? Pamiętasz, jak błagałam, byś nas nie porzucił, bo ją skrzywdzisz? Jak ci mówiłam, że jest wyjątkowa, nadzwyczajna?

Hanka
Andrzej Horubała

A ty co? Powiedziałeś, że w imię prawdy musisz odejść. I że to też dla dobra Hani. Bo jeśli byś został, dorastałaby w piekle. Bo życie ze mną to piekło. Ciekawe.

W imię prawdy. A teraz w imię tej samej prawdy mam ją unicestwić.

Chociaż... – pewnie, że w pewnym momencie poczułam ulgę. Bo tego już się nie dało ciągnąć. Jest taka granica, gdy już nie da się po prostu wytrzymać z drugą osobą w jednym pomieszczeniu. Gdy drażni wszystko: sposób mieszania kawy, podnoszenia widelca do ust, poprawiania serwetki... Czułam, jak się czaisz, by złapać mnie na jakimś błędzie, by mieć powód do wkurwu, czułam złą energię, którą przynosiłeś z sobą...

No i jak mam to wszystko opowiedzieć Hance? Może o tym ostatnim razie, gdy wydało mi się, że jest jeszcze szansa. Przecież to wszystko takie groteskowe.

Poza tym – wariowałam, oczywiście, że wariowałam.

Ale gdy leżałeś na mnie na trawniku, gdy w końcu mnie dopadłeś i powaliłeś, to czułam, oprócz wielkiego bólu i ucisku, o, wiem, trenowałeś kiedyś tę swoją krav magę i mówiłeś, że zawsze trzeba działać na sto procent mocy, więc ścisnąłeś mnie tak, że aż prawie dusiłeś, przyciskałeś do ziemi, cisnąłeś plecy, ale czułam, czułam, twoje podniecenie. Klamrę przy twojej skórzanej motocyklowej kurtce, z której tak byłeś dumny, czułam też, ale przede wszystkim – twoją erekcją. Oboje sapiący, rozpaleni ucieczką, gonitwą, gotowi na miłość, na ostatnią próbę, czy nie tak? Dobrze, że nie wpadliśmy w jakieś psie gównno. Pachniała zgnieciona wieczorna trawa, ty szeptałeś do mnie: cicho cicho, uspokój się, cicho cicho, prawie czule szeptałeś, bojąc się mojej hysterii, ale i tego, że namerzy nas patrol straży miejskiej.

Tak, spytałabyś, Haniu, a co to za pomysł, mamó, rzucać kamieniami w reklamę kostiumu kąpielowego i rozwalać nocą szybę na przystanku?...

A co to za pomysł, żeby prawie czterdziestoletni facet, mąż i ojciec dojrzewającej córki ślinił się na widok jakiejś ruskiej modelki reklamującej bikini? To oczywiście normalne, tak?

Zobaczyłam, czym się podniecałeś w internecie, o, nie wyprzesz się. Żadna pornografia, prawda? To tylko reklamy kostiumów kąpielowych. Weszłam w historię przeglądania, zaczytywałeś się wywiadami z tą modelką, oglądałeś fotki z jej dierewni, oj, jaka wzruszająca sprawa. Z kołchozu w wielki świat. Widziałam potem, jak taksujesz wzrokiem ten billboard zawieszony za szkłem na przystanku przy naszym skrzyżowaniu.

Co, że modelka ruska, czy to ma znaczenie? No może i ma. Może wyobrażałeś sobie, że łatwiej ci będzie do niej podejść, nie wiem co tam sobie roiłeś w podnieceniu.

Że ja wariatka?

No tak, gdy spostrzegłam, do czego się podniecasz, zapchałam ci komputer moimi zdjęciami z plaży sprzed lat. W tym żółtym kostiumie, który tak lubiłeś. I w tym zielonym bikini też. Jak masz zasilać swoją wyobraźnię fotkami, to proszę bardzo, masz to w mailach: też kiedyś byłam ładna i cię ruszałam.

I co, obśmiałeś te fantomy młodości, co przeminęła, obśmiałeś. No to teraz śmieję się, śmieję, internetowy zboku! Ciskałam kamieniami w przystanek po drugiej stronie ulicy, jak mnie uczyłeś: rozbieg, przedostatni krok skrzyżny, prawa ręka mocno odwiedzona do tyłu. Lewa wyprostowana. Mógłbyś być dumny z siebie, nauczycielu! Poleciało szkło,

Hanka
Andrzej Horubała

plakat się zwinął, gdzieś włączył się autoalarm. Co mnie to obchodzi, masz, masz swoją ruską piękność, nie bronisz jej? Popatrz, jaka biedniutka pomarszczona, zwija się w rulonik...

Tak, taką prawdę mam powiedzieć Hance? O to ci chodzi?!

Więc dobrze, tego wieczora byłam lekko wstawiona, dobrze, byłam wściekła i może rozwalanie szyby na przystanku to nie najlepszy pomysł. Może i ktoś nas zauważył i ten samochód z błyskającym kogutem to była straż miejska, która chciała nas zwinąć.

Więc dobrze, ta moja ucieczka, a jednocześnie twoja pogoń za mną, która też była ucieczką, bo rozległy się za nami jakieś okrzyki, nie ci chł ten autoalarm, zawarczał samochód. ...okay, to wszystko prawda, i w pewnym momencie, sam przyznasz, robiło się całkiem zabawnie. Zabawnie i dziko.

Dogoniłeś mnie wreszcie, rzuciłeś się i powaliłeś na ziemię, na trawnik za samochodami i może to było sensowne, bo leżących na trawniku nie zauważyli. Może to było sensowne, bo seksowne to na pewno.

I co, zaprzeczysz może, że zapragnąłeś mnie wtedy? Że coś ożyło.

Ja wiem, wiem, co sobie mogłeś przypomnieć. Nie zaprzeczysz. Na pewno sobie to przypomniłeś. Były i kamienie, kamyki i przywieranie do pleców. Na samym początku.

Tam, nad rzeką, wtedy, na pierwszym naszym wspólnym wyjeździe. Tacy piękni i młodzi oboje. W identycznych T-shirtach w niebieskie paseczki, w japonkach na stopach obmywanych wodą. Zachód słońca, wspaniałe błyski na rzece, las granatowy, jakieś pomarańczowe dominanty, kolory przekłamane... prawie zmierzch, magic hour, wszystko wygląda niezmiernie, a ty uczysz mnie rzucać kamykami, żebym wreszcie nie robiła tego po babsku. Tak tak, szczuplutki, przywierałeś do moich

Hanka
Andrzej Horubała

pleców, czułam cię i w tych naiwnych zalotach oszukiwaliśmy sami siebie, że chodzi o technikę rzucania kamieniem. Być może rozczułała cię moja niezgrabność, moje niezręczne babskie ciskanie kamykiem, ale przecież chodziło o pieszczoty, o ocieranie się. Trzymałeś mnie za przegub i wodziłeś moją ręką. Dłoń z tyłu na wysokości barku, pozycja wykroczo-zakroczo – gadałeś jak instruktor jakiś, a podniecałeś się jak mały piesek, ale i ja niedoświadczona czułam wielkie szczęście i wszystko we mnie się burzyło i buzowało.

Prowadzisz moją rękę, odwodzisz, a cały drżysz... Jakie to było młodzińcze.

No i tej nocy się stało. Chcieliśmy tego oboje. I poczęła się Hania! Od pierwszego razu.

Więc, gdy tak leżeliśmy i dyszeliśmy na trawniku niedaleko naszego bloku, musiałeś to pamiętać! I to chyba był ostatni raz, gdy jeszcze mogliśmy spróbować zacząć od nowa.

Ale nie zaczęliśmy.

„Puszczaj” – wycharczałam, bo naprawdę twój uścisk bolał. I puściłeś, poluzowałeś i czułam, jak więdnie twoje pożądanie.

Że jestem wariatką?!

Że niby z księdzem? Pewnie, że tego nie zapomniałam. Był, był ksiądz, który miał być pocieszycielem. No i co z tego?

Mam się z tego tłumaczyć?

Otóż, nie mam zamiaru. Nie mam zamiaru, wiesz, bo wynaleziono takie piękne słowo: wypierdalać! Więc: wypierdalać! Nie będę się z tego tłumaczyć, nie dam się uwikłać w racjonalizowanie, w klasyfikowanie, ocenianie.

Co ja na to? Ja na to: wypierdalać!

Och, wypierdalać! – czy ty wiesz, jak wspaniale to smakuje w ustach. Wy, knury ze swoimi skomplikowanymi argumentami, z tą całą wypracowaną przez wieki filozofią i teologią, rozważni, nieodparcie logiczni, uśmiechający się, gdy stawiacie to swoje Q.E.D. – quod erat demonstrandum. A uśmiechajcie się, uśmiechajcie. Ja wam na to: wypierdalać! Co z tego, że mi się nie składa, że wasze modele, algorytmy to odrzucają, że jakbym zaczęła z wami dyskutować, to zaraz mnie pokonacie? A – wypierdalać! Wypierdalać mi z tym, z tymi argumentami, z tym Arystotelesem i świętym Tomaszem! Wypierdalać z tym ładem społecznym. Wypierdalać, bo ja widzę, co zrobiłeś z moim życiem! I co, teraz mnie przekonasz, że byłeś w porządku, a ja jestem wariatka i mam ze łzami przepraszać?! O nie, wypierdalać!

11 I to jest wspaniale w tym okrzyku. Zatykam uszy na twoje argumenty, o nie, nie będę się wdawała w szermierkę słowną, zawsze odwrócisz kota ogonem, zawsze mnie przegadywałeś i ja, skołowana, poddawałam się albo milkłam. Ale do czasu, do czasu, gdy nie posmakowałam słowa wypierdalać. Na wszystkie twoje opowieści, na argumenty mam: wypierdalać! Dosyć tego.

I to jest wspaniale w naszej Hance, w tych zbuntowanych dziewczynach!

Że ona nie będzie czekać do czterdziestki, by się przekonać, że coś idzie nie tak i jest nieszczęśliwa, i pytać: jak to się stało, że ugrzęzła, jak to się stało, że dała się tak wykorzystać, tak oszukać. O nie, wspaniale, dające wolność „wypierdalać!” wpuszcza powietrze i możesz się mądrzyć, o nie, wypierdalać! Nie będzie rozkminiać twoich systemów, nie da się wpuścić w racjonalizowanie, w argumentację. Gdy poczuje, że narzucasz jej męską logikę, za którą stoją całe tysiąclecia patriarchy, powie po prostu: „wypierdalać!”, przewróci stolik i wyjdzie. Bo i co

Hanka
Andrzej Horubała

z tego, że tobie styka i wydaje się logiczne, skoro mnie uwiera, ogranicza i niszczy. No to: wypierdalać! Z tym patriarchatem, z tą swoją logiką. Ale jak to? – spytasz. A właśnie tak! „Wypierdalać!”. Nie rozumiesz?! „Wy-pier-da-łać!”.

Wulgarne? Bo chcecie nas pierdolić bez zobowiązań, a potem wszystko zrzucać na nas! O, nie! Co, że nasza rzeczniczka brzydka? Że jakieś kompleksy? Wypierdalać! Nie gadaj już, tylko wypierdalaaj!

No był ksiądz. Był. Miał pocieszyć, a potem stchórzył. Tak! Okazał się tchórzem. Robić słodkie oczka i wzdychać, wylewać w konfesjonale strumienie kojącej gadki – jasne, nawet za łapkę potrzymać, ale żeby wziąć odpowiedzialność, w ogóle, żeby się przyznać do uczucia! Umykał jak zając, tchórz!

Po tej wielkiej spowiedzi, gdy mu się wyplakałam, chodziłam co dzień na msze, na osiemnastą. Do nas, do parafii. Oj, kilkanaście bab, czasem jakiś nie zrównoważony młodzieniec. No i ksiądz Piotr. Młodziutki, dokładnie ogolony, delikatny, z pociągłą twarzą, długimi palcami, miękkim spojrzeniem. Wychodził z zakrystii skupiony, natchniony, pachnący.

Na palcu miał cieniutką srebrną obrączkę z nacięciami, takimi do odma- wiania różańca, że niby poślubiony Jezusowi, a może i Matce Boskiej. Z tyłu kaplicy, za jego plecami – Ostatnia Wieczerza, dziwna płaskorzeź- ba stylizowana trochę na góralszczyznę. Więc w tej ostatniej wieczerzy uczestniczyliśmy też oboje: Piotr i wprowadzona przez niego, pocieszana i tulona – ja...

Ale cicho cicho, zaczyna się msza. Dzwięczy dzwonek pociągnięty przez ministranta, wchodzi Piotr, zamaszysty, ale subtelny, pochyla się i całuje białe płótno na ołtarzu i już już wzrokiem mnie szuka! Omija wpatrzone w niego stare dewotki i uspokaja się dopiero, gdy mnie

dostrzeża. Jestem tam gdzie zawsze, z lewej strony, przy ścianie. Jego twarz łagodnieje, cały napełnia się szczęściem.

Odprawia mszę i myśli o mnie – to nie złudzenie! – wciąż pamięta o mojej obecności i naszym uczuciu.

Tak, to były nasze prywatne misteria, sprawowane wśród tych staruszek klepiących różańce. Liczyliśmy się tylko my dwoje. Ty, niosący słowa pocieszenia, odwołujący się do męki Chrystusa, zapewniający słodko, że trzeba nieść swój krzyż. I ja – wpatrzona w ciebie niewiasta. Może Maria Magdalena? Że co, że co sobie roiłam? A co roiła sobie Maria z Magdalii, wpatrzona w Jezusa? Rzuciła się ku niemu, bo poczuła miłość i wsparcie! Tak jak ja. Ale i ona do końca nie rozumiała, co z tego ma się wykluć, co z tego będzie. I ona mogła poczuć się w końcu oszukana! Bo i mój wrażliwy księżulo oszukał mnie.

Bo nagle z dnia na dzień wszystko się urwało. Koniec spojrzeń, koniec westchnień. Oschłość, rzeczowość, z jaką podał mi do ust hostię, nic z dawnej słodczy.

Wróciłam wstrząśnięta do domu. Nie rozumiałam niczego. Przecież nie zrobiłam nic złego. Czyli co? Przestraszył się swojego uczucia do mnie? Następnego dnia po mszy weszłam do zakrystii, no dobrze, można nawet powiedzieć: wtargnęłam tam, bo ogarnęła mnie wściekłość. Kleszka akurat zdejmował albę, tę białą szatę, przez głowę, niezgrabnie, szamocząc się nieco, ministrant uciekł przerażony, widząc mnie w furii: oczy mi latały, byłam cała czerwona pewnie. Zostaliśmy we dwoje. Ja ostro: no co, pobawiłeś się i koniec?! On coś bąknął, że nie rozumie, nie wie, o co mi chodzi. – A co – ja więc do niego, na „ty”, dosyć tego – nie wiesz, o co chodzi, a twoje spojrzenia, a gesty? Znowu coś bąka pod nosem...

– Może nie patrzyłeś na mnie miłosnym wzrokiem? Że co? Że na każdego tak próbujesz patrzeć z miłością? Z jezusową miłością? O nie, nie nie! To żadna jezusowa miłość nie była. Patrzyłeś na mnie jak mężczyzna. Napierałam na niego, łamałam wszelkie dystanse. Widziałam strach w jego oczach, cofnął się, wiedziałam, że takie straszenie na nic, że to tylko pogarsza sprawę, ale nie mogłam inaczej, w pewnym momencie nie chciałam już niczego, jak tylko by powiedział: tak, zakochałem się, pragnąłem cię. Nie mylisz się.

A ten tchórz skulił się, spuścił oczy i powiedział, że to nieporozumienie. Ładne mi nieporozumienie. Tygodnie mszy, dzień w dzień, i nieporozumienie?!

Czyli mam Hance powiedzieć prawdę, by z jej twarzy znikł uśmiech, by znowu zamknęła się w sobie. Mam wyprzeć się tych wieczorów, gdy wracała z demonstracji, gdy rozpromieniona opowiadała o starciach z policją, mam wymazać z pamięci te pełne entuzjazmu poranki, gdy razem robiłyśmy transparent, a ona opowiadała, że wreszcie wie, po co żyje, że wreszcie oddycha.

Oglądałyśmy razem filmiki, jak kopie baner z fotografią abortowanych płodów, jak szamocze się z jakimiś typami z prolajferskiej organizacji, jak skanduje coś, unosząc zaciśniętą dłoń. A potem te świetne zdjęcia, jak pojmana przez policjanta wleczona jest po ziemi. Za każdym razem zerkała na mnie przejętą i wzrokiem zapewniała, że nic nie bolało.

Czytałam jej wpisy w internecie o apostazji, z szyderstwami z tych wszystkich katolickich ceremonii i przymusów. No pewnie, że obśmiewała trochę też nas. Ale najbardziej dostało się Eli. Komiczna chrzestna. To było nawet śmieszne: to całe zamieszanie z pierwszą komunią, te narady, jaki rowerek kupić. I to, że po kryjomu pożyczalam Eli pieniądze

Hanka
Andrzej Horubała

na prezent dla Hanka. No – pożyczalam, czy też zalozyłam za nią, nic to nie znaczy. Ale przecież opis Eli był taki trafny. Że taka skrzecząca papuga w okularach z denek słoików krzątała się i chciała, by było miło.

Mam jej powiedzieć prawdę, tak?! Ale co tu opowiadać. Historia naszego małżeństwa jest dość prosta: zdobyłeś mnie i olałeś.

Olałeś bardzo szybko, bo bardzo szybko okazało się, że do ciebie nie pasuję. Że chyba mierzyłeś za nisko, że źle umieściłeś swoje uczucia. Cóż mogłam z Hanią na rękę? Byłam obciążeniem i kompromitacją. Błada, zupełnie nie z tej ligi, żalonna, zahukana gęś. Czasem, jak któryś z twoich znajomych pochwalił mnie, coś zapalało się w twoich oczach, ale przecież patrzyłeś na mnie ich oczyma, oczyma, które pożerały te ekstra laski, te świetne dziewczyny, przebojowe dziennikarki, świetne pytony, dżagi kręcące się wokół panów życia. A co ja mogłam, z zaniedbanymi paznokciami, ze skórkami nieobciętymi, poobgryzаныmi, z podkrążonymi oczyma. Byłam dla ciebie balastem. Wkroczyłeś w inny świat. Co miałam robić? Inne chłoneły cię oczami, gdy opowiadałeś dyrdymały o wartościach rodzinnych, o świecie mocnych tożsamości płciowych... A ja wiecznie niewyspana, ślaniająca się na nogach, wstająca na każde jęknięcie Hani. Co mogłam?

Te żalonne twoje przewagi. Sama cię uczyłam posługiwać się pałeczkami, gdy zamówiłeś sushi, a potem brylowałeś na salonach i udając bywalca, najchętniej wdeptałyś mnie w ziemię... A tam, wdeptać w ziemię, po prostu miałam siedzieć w domu i nie przynosić ci wstydu. Światowcowi. Fakt, że to ja wymyśliłam ci tę bródkę i dobrałam okulary, nic nie znaczy, do świata chcesz iść sam, bez balastu w postaci żony-tłumoka.

Owszem, zdarzały się jaśniejsze chwile, kiedy próbowałeś chyba sam siebie przekonać, że może wszystko się jeszcze ułożyć, że powrót będzie możliwy... jak wtedy, gdy ociągając się, wziąłeś mnie na jedną z tych środowiskowych imprez, na które zwykle chodziłeś sam, mówiąc, że to praca, a nie rozrywka, i że nie możesz jednocześnie opiekować się mną i prowadzić rozmów.

Wróciliśmy i ty chyba przez moment wierzyłeś, że będzie świetnie.

Rzucasz mnie na kanapę i mówisz, a oczy tak ci błyszczą cudnie: wiesz, że byłaś najpiękniejsza? Wiesz. Czująś to? Potakuję, bo wieczór za nami szczególnie. Gala, trochę wina, świetny bufet i znowu ja przy nim i wielkie nadzieje. Inni pożerają mnie wzrokiem, gdzieś tam na boku nerwowo chichoczą, część to szczeniaki jeszcze, a ja czuję się jak dojrzała kobieta, spełniona, otaczana silnym ramieniem przez męża.

Leżę więc na kanapie, rozchyłam nieco uda, drażnisz dłonią, raz przywierasz, to znów odstępujesz i pytasz, wciąż pytasz, a ja marzę, że mogłabym to zrobić na oczach ich wszystkich, tych knurów z twojej pracy, niech się patrzą, jak przeżywam fale orgazmów, niech widzą moją zmienioną pod wpływem rozkoszy twarz, niech słyszą mój jęk. O tak, marzę o tym, by tu w salonie, gdy mnie bierze zgromadzili się i patrzyli, jak potrafimy być szczęśliwi.

Czekam aż mój pan i władca wejdzie we mnie i mnie uszczęśliwi.

– Tak – szepczę – tak, wiem.

– To powiedz.

Mówię: – Byłam najpiękniejsza, byłam pożądana.

– Widziałas? Widziałas ich wzrok?

Pyta zachwycony on, kiwam głową. Pieści mnie, wkłada dłoń w moje majtki, ja tam już pulsuję, zupełnie wilgotna...

Tracę czujność.

– Tak? Widziałaś, widziałaś, jak na ciebie patrzyli?

– Tak! – mówię mu i wyobrażam sobie nawet, że teraz, gdy ma wejść we mnie, wokół stoją ci jego koledzy z pracy. Z cygarami w dłoniach i wielkimi szklankami z whisky. Stoją i się gapią. Przerwali rozmowy i podnieceni obserwują nasz miłosny rytuał. Patrzą, jak ty wchodzisz we mnie, jak adorujesz mnie zwycięską, piękną.

Przypominam sobie te chwile szczęścia wtedy na motorówce w Chorwacji, gdy siadam na dziobie i czuję, jak wiatr i woda obmywają mnie. Obejmuję nogami kadłub, siedzę rozkraczona, nawet trochę wulgarna, ale z twojego spojrzenia czytam, że tak mogę. I czuję, że wszyscy trzej – ty i dwaj twoi kumple, na tej mknącej torpedzie pożądacie mnie. Ale ja chcę być twoja, tylko twoja, mój ty biedny udręczony młodzieńcze... Skrzy się morze, łódź skacze na falach, ale tak łagodnie, tak gently... Leżę na kanapie w salonie, dobrze mi. Tak, wejdz, wejdz już... napełnij mnie, wypełnij mnie sobą.

– Widziałaś, jak patrzyli na ciebie?

– Tak – jęczę już, trochę zniecierpliwiona, a on nagle zmienia ton. Pyta, ale głos jakiś bardziej stanowczy, twardy.

Ściska mi ramię, coraz mocniej i mocniej. Boli!

– Kusiłaś ich, przyzwaliałaś, pokazywałaś wzrokiem, że możesz być ich, że jesteś uległa.

Trzyma, trzyma, ściska. Nachyla się nade mną, zbliża twarz do mojej. Wściekłą twarz.

Zaczynam płakać. Nie chcę się bronić, nie chcę nawet kłócić. Głupiec niszczy każde nasze święto. Zupełnie nie wiem, o co mu chodzi. Targany tymi alkoholowymi fuzlami miota się od ściany do ściany.

Przyjaciele? Andrzej. Świadek ślubu. Co z tego? Co mi po deklaracjach, że trzyma moją stronę, że nie rozumie, dlaczego zostałam porzucona. No co?!

Wafelki, wafelki. Położył pudełko między naszymi siedzeniami, gdy wracaliśmy z pogrzebu kumpla ze studenckich czasów, co to mu się glejak zrobił i zawinął się z tego świata w kilka tygodni. Andrzej, ja źle żyłem – powiedział mu na łożu śmierci i faktycznie odchodził w idiotycznych okolicznościach. Właśnie rzucił żonę i wymyślił sobie, że będzie aktywnym seksualnie singlem z elegancką garsonierą w centrum. No i gdy wszystko było wypucowane, on sam zresztą zgubił ze dwadzieścia kilo i zaczął ganiać na siłkę i basen... Droga z Poznania. Ciemno już się zrobiło i te wafelki między nami. Andrzej kieruje pewnie, o tak, zawsze mi to imponowało, jak potraficie prowadzić, jak mocno trzymacie kierownicę i nie machacie rękami, a i głowę trzymacie sztywno. Jedziemy. Noc, trochę mży. Opowiadam, co u mnie, to znaczy żalę się. Jakie to beznadziejne. Żalić się i żalić. Jak można tak się upokarzać. Pada deszcz, niebo płacze, co za kicz, wycieraczki rytmicznie pracują. Mówię nagle z jakąś energią, że już się poprawiłam, że nie jestem tak nerwowa, tak niepewna swego, że... mówię do niego, tak jakbym chciała go uczynić posłańcem, jakbym chciała go zobowiązać do przekazania tej wieści mężowi. By jeszcze raz zaufał mi i wrócił. Jakiś absurd. Prawie jęczę, słyszę swój jęklivy głos, jak się zapowietrzam, jak żebrzę prawie. Słucha, ale raz po raz zagryza wafelkiem. Reflektuje się i mówi: jedz, jedz. Milczy. Ale po chwili mówi: Gosiu, przecież to idiotyzm. Nie obwiniaj się. Wszystkie twoje wady, ta niby nerwowość, niepewność, przecież to były rozczulające elementy, które on wielił na początku waszej znajomości. To było tak urocze. Mój maluch – mówił o tobie. A potem co? Miażdżył za to, co najpierw kochał? Tak nie można! Gosiu!

Mówi z przekonaniem, jeszcze chwila, a przekroczy granicę, jest tkliwy, głos mu się łamie. Nagle nasze dłonie stykają się nad tym pudełkiem z wafelkami. Odskakuje jak oparzony. Noc, ciemne wnętrze samochodu, my we dwoje. On – żonaty, ponoć szczęśliwy, ciekawe, jaką cenę płaci ona za jego szczęście?!... Czy można przeżywać szczęśliwie małżeństwo?

Ale przecież tu najwyraźniej powodowany jest miłością. Czy sięga myślą do naszych młodzieńczych czasów, gdy jeszcze wszystko było możliwe, gdy byliśmy jeszcze nieskrytalizowaną paczką przyjaciół?...

Nie trafiam z emocjami, fatalnie chybiam. Rozkołysana drogą, marzeniami, rojeniami. I gdy podejźdza pod nasze osiedle, mówię: nie nie, jeszcze nie chcę iść. Poruszył się niespokojnie. Tak idiotycznie. Taką pantomimę odwalił, balecik pod tytułem: no, ale ja muszę wracać do żony, muszę jechać. A ja nieczuła, głucha na to, powtórzyłam: jeszcze nie. Pomyślałam, idiotka: może mnie wreszcie pocałuje, może wyzna miłość, niechby niespełnioną, ale może powie, że zawsze, że szkoda. A on nic. Uparcie milczy.

– Nie, nie chcę wysiadać. Nie chcę do domu! – zaskowitałam prawie i mocniej wcisnęłam się w siedzenie. Zapierałam się nogami, jakby mnie chciał siłą wyrwać z jego samochodu.

Doskonale wiedziałam, jak idiotycznie to wygląda, brzydziłam się brzmieniem swojego głosu, tym idiotycznym uśmieszkiem, który mi się przybłąkał do ust i modulował brzmienie. Czuję, jak schodzi ze mnie powietrze, ale jeszcze próbuję, więc mówię: to może jedź do domu, ja tam wysiądę i sobie stamtąd wrócę. On: nie, to bez sensu, Gosiu. I to „Gosiu” jest takie dyscyplinujące, jakbym słyszała metaliczny głos kogoś z nauczycieli. A ja siedzę. On twardo, nagle: nie wygłupiaj się, wysiądź. Ja: nie, naprawdę, nie chcę jeszcze wracać do domu. Jedźmy

Hanka
Andrzej Horubała

do ciebie, ja stamtąd wezmę taksówkę. Kulę się. No co? Mam cię prosić? Błagać?

Świrowałam? No pewnie, że świrowałam. Wam uderza sperma do głowy, a my wariujemy od niekochania! Wariujemy, a potem się uspokajamy, łagodniejemy, rany się zablizniają i oto siedzę sobie z córką – wyciszona. Wreszcie szczęśliwa.

No to teraz musisz objawić się ty ze swoim żądaniem. I niby co, mam powiedzieć prawdę? By ci ratować dupę, by się wycofała, by nie było okładkowego wywiadu, tak?

No dobrze: mam zniszczyć Hankę, złamać ją, spowodować, by znowu zapadła się w sobie. Dobra, wiem. Mam jej opowiedzieć, jak było naprawdę, że miała być wyskrobana i że ta jej wyszydzana Ela, ta ubierająca się wiecznie na cebulkę, omotana w jakieś dziwaczne szale i chusty, ta na wpół ślepa Ela w groteskowych okularach, że ta właśnie Ela ufundowała jej życie. Dosłownie.

Mam zniszczyć twoją córkę i jej powiedzieć, że to ona miała leżeć w kuble, jaki z sadystyczną satysfakcją eksponują na fotografiach fanatyczni prolaiferzy, a Hanka ich plakaty z takim wspaniałym zapamiętaniem demoluje?... Widzę ją, wciąż widzę jej smukłą sylwetkę i ciosy zadawane nogą i furię, z jaką traktuje te ich banery. I co, mam oznajmić: w siebie samą kopiesz, sorry, wszystko, w co wierzysz, nie ma sensu... tak, tego chcesz, by znów zamknęła się w swoim pokoju? W imię – prawdy?

Mam dla twojego komfortu przywoływać tamten czas, gdy byłam już zapisana na zabieg, a tu nagle do naszego mieszkania wbiła ta wścibska

Hanka
Andrzej Horubała

sąsiadka, Ela i od słowa do słowa, wyciągnęła ze mnie wszystko. Że zaciążyłam, że ty też jesteś za terminacją (tak, wtedy używałam tego słowa). Mam opowiadać, w jaką wściekłość wpadła, jak śmieszna i żalonna była z tym jej zasapanym „nie pozwalam, nie pozwolę, nie dopuszczę”. Święte oburzenie. Zacukująca się dewotka. Mam odtwarzać tę żalonną sytuację? Ale w imię czego?

Przecież to i ze strony Eli było użycie wszelkich możliwych środków. Nawet szantażu, tak, szantażu. Groziła, że sprawę ujawni. Ale to na samym końcu. Najpierw odwoływała się do wiary, do Boga, do Jana Pawła. Pewnie, że się rozryczałam, powiedziałam, że absolutnie nie jesteśmy na to przygotowani, że nie damy sobie rady, że jeszcze nie. Że dziecko – tak, ale później. Mówiłam, że jesteś podłamany, że tak świetnie poszedł ci licencjat, że wreszcie wychodzisz na prostą, a tu taka wtopa.

I co, oboje na studiach, ty już rozpędzony do kariery, a tu, po prostu – za wcześnie. Sami nie podołamy.

No tak: myślałam głównie o tobie i twojej wielkiej szansie.

A Ela prawie to upubliczniła. Dała na jakąś intencję, zawlokła mnie do kościoła, nie wiem, dlaczego byłam taka naiwna i dałam się wziąć, a ksiądz przy ołtarzu czytał, że módlmy się za poczęte właśnie dziecko, które zagrożone jest aborcją... aby rodzice podjęli dobrą decyzję i odstąpili od grzesznego zamiaru zabójstwa własnego dziecka. Niby nie wymienił mojego imienia, no ale i tak wszyscy wiedzieli!

Nie chciałam, nie chciałam mieć jeszcze dziecka! Nie poradziłabym sobie. Nie.

I co, mam opowiadać, że wtedy ta ciotka-dewotka, jak ją nazywała Hanka, przyszła po raz kolejny, a to było dokładnie w dniu, gdy byłam już

|
Hanka
Andrzej Horubała

zapisana na zabieg, przyszyła, odwinęła tę swoją chustę, poszamotała się z szalem, dogrzebała się wreszcie do torby i wywaliła stamtąd dziesięć paczek banknotów, część upadła na ziemię, nie czyniła tego ze złością, nie, to raczej taka niezgrabota była, no i powiedziała: masz, załatwiłam wsparcie z fundacji, teraz już nie będziesz mogła powiedzieć, że was nie stać.

Co, mam to opowiedzieć mojej wojownicze, mojej Hance, mojej Hanusi? O to ci chodzi? W imię twej prawdy, po raz kolejny dla ciebie, dla twojej wygody, mam zniszczyć własne dziecko? Wrażliwe, bezbronne. Wiesz co ci na to powiem?!